

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Zlr. — półroczna 3 Zlr. — kwartalna 1 Zlr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Zlr. — półrocznie 4 Zlr. — kwartalnie 2 Zlr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmie petyt w przedziale za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr. stał. za każdorazowe umieszczenie. Biuro ekspedycji w księgarni H. W. Kallenbacha.

DWA ŚLUBY,

Powieść fantastyczna.

przez

Józefa Korzeniowskiego.

Przed trzydziestu dwoma laty słyneła w Warszawie piękność, znakomita nie tylko przez swą kibić, rysy twarzy, wyraz oczu, słowem przez ten wdzięk powierzchowny, o który w Warszawie nietrudno, ale jeszcze i przez to, że równie z urodzenia jak i majątku należała do najpięrszych w kraju partyj. Balkon jej mieszkania na Senatorskiej ulicy był powszechnie znanym. Nie było wówczas panicza, z tytułem lub bez tytułu, nie było oficera z wielkimi lub małemi szlifami, nie było urzędnika ze wstażeczką lub bez niej, któryby przynajmniej raz w tydzień, latem około godziny trzeciej po południu, nie przejechał się zwolna, lub nie przeszedł spacerem przez Senatorską ulicę, i nie podniósł oczu na ów balkon, na którym księżniczka Eleonora siedziała lub stała, patrzyła w niebo lub na ziemię, co zawsze zależało od liczby przejeżdżających, lub przechodzących, od elegancyi ich powozów, dzielności ich koni wierzchowych, lub od glancu kapeluszy i koloru rękawiczek tych, którzy przechodzili piechotą. Wszyscy także znali ów przesłiczny kocz perłowego koloru, wybity amarantowem sukniem, i ową dzielną parą koni stalowej maści z amarantowemi kokardami koło uszów i w szorach czarnych, ozdobionych bogato srebrem. Ile razy bowiem sprzyjała pogoda i skończyła się ekspozycja balkonowa, księżniczka Eleonora w przezroczystym kapelusiku, jakie wówczas noszono, w jasnym ubraniu, aby od amarantu dobrze odbijało, leżąc w swoim koczu i oparłszy drobne swe nóżki na przednim materacu, jechała na spacer w aleje i do Łazienek. A gdy wracała napowrót z podnieconym przez ruch apetytem, z umalowanemi cudnie przez świeże powietrze policzkami, gdy kazała pośpieszać, a piana bryzgała z pysków jej rumaków i z pod kopyt ich sypały się iskry, wtedy z obu stron alei uchylały się kapelusze, wytrzeszczały się oczy, wszczyły się szept i rozmowy; wtedy dzielne wierzchowce dostawały ostroga, aby kosztem swej krwi i desperackiego skoku ściągnęły jej uwagę na jeźdźca; wtedy chude szkapy dryndulek dostawały potężnie batogiem, aby wyprzedziły stalowe bieguny i aby siedzący w obdartym koczyku panicz mógł jeszcze raz zajrzeć w oczy zawołanej piękności i może od niej być dojrzanym i postrzeżonym. Oprócz tych miejsc, gdzie ją można było wi-

dziec prawie codziennie, znajomą także była łoża w teatrze ówczesnym pod numerem szóstym z prawej strony, abonowana przez matkę księżniczki, i ławeczka u Kapucynów, także z prawej strony, gdzie czasem matka i córka, a najczęściej tylko księżniczka z egzguernantką swą, starą Francuzką, która jej teraz służyła za towarzyszkę wszystkich wycieczek, co niedziela i święto siadywały. Otóż nie było pomiędzy wysokimi panami żadnego, jakkolwiek mocno był przekonany o nizekności talentów polskich, jakkolwiek miał obecne w myśli cuda sceny paryskiej, któryby nieprzyszedł na teatr wtedy, gdy wiedział, że łoża pod numerem szóstym będzie zajęta; nie było eleganta, czy to we fraku, czy w mundurze, jakkolwiek wierzył w skuteczność modlitwy i w potrzebę codziennego pacierza, któryby w niedzielę i święto nie przyszedł na sumę do Kapucynów. I gdy w teatrze Szymanowski deklamował rolę Augusta lub Mitrydata, gdy Kudlicz w sukni Templaryusza nakazywał towarzyszom swym pokorę i milczenie na stosie, gdy Werowski błąd jak ściana, a potężny postawą i ruchem, wyzywał na bój śmiertelny Gomeza, ojca ubóstwionej przez siebie Xymeny, gdy Leduchowska w nonem odzieniu, senna, przechodziła ze świecą przez scenę, i potem przerażającym szeptem wzywała fal oceanu, aby z rąk jej zmyły krew Dunkana; panowie ci, mocno przekonani, że to wszystko jest niedoleżne i bez iskry talentu, który tu u nas być nie może, odwróceniu od sceny, wymierzali lornetki swe na numer szósty łoży z prawej strony. A gdy znowu u Kapucynów lud padał na kolana w czasie podniesienia, lub z ambony rozlegały się słowa nauki i przestrogi, ciż i tym podobni panowie stali prosto i patrzyli ku ławeczce na prawo, bo tam lub rysował się cudny profil księżniczki, patrzącej na ołtarz, lub wznosiło się ku ambonie jej wielkie, błękitne oko, czarnemi osłonięte rzęsami.

Księżniczka Eleonora była średniego wzrostu, dziwnie kształtna, ciemna szatynka z błękitnymi oczami, pełnemi wyrazu rozumu i zalotności, z uśmiechem zachwycającym, którym czarowała, z głosem pełnym słodczy i przenikającej wymowy. W ruchach niezbyt żywa, miała jakąś orientalną miękkość i niby niedoleżność, z którą jej było bardzo do twarzy; ale w pewnych chwilach rozbudzała się w niej jakby namiętne energia, objawiająca się w jej chodzie, w giestach, w grze na fortepianie, w czem celowała, a mianowicie w tańcu, któremu często oddawała się

bez pamięci. Czując swą wyższość pod każdym względem i mając już dwadzieścia dwa lat życia, nie lubiła kompanii panienek, mało się z niemi wdawała, trzymając się w każdym towarzystwie bliżej młodych mężatek, którym często imponowała rozumem, a które wszystkie przenosiła pięknoscia i galeryą otaczających ją zawsze wielbicieli.

Księżniczka Eleonora była prawie niezależną; chociaż bowiem mieszkała w domu rodziców, ale miała swój oddzielny apartamencik, malenki, panieński, i tak kosztownie z taką wykintnością przybrany, że sam jego widok pokazywał zaraz, że tam przebywa czarodziejka, która jak sama jest piękna, tak chce, aby wszystko co ją otacza pięknem było, wytwornem i pełnem czarów. Za domem niezależała także od nikogo. Miała bowiem swój ekwipaż, do towarzystwa ową exguwernantkę Francuzkę, ślepa i głuchą; matka zaś księżniczki, sama jeszcze piękna, niewiele wglądała w postępowanie córki, gdyż była czem innem zajęta i miała męża, który także był ślepy i głuchy.

Pomimo tej swobody, pomimo owego nadstawiania się i pozornej zalotności, miasto najkłamliwsze i najłatwowiejsze ze wszystkich, nie mogło nic przeciwko niej wykomponować i nie miało w co uwierzyć. Patrzyli na nią wszyscy, wielbiło ją wielu, niejeden się w niej kochał, ten i ów starał się o jej rękę, ale nikt nie miał jej nie do zarzucenia; i owa sławna i nietająca się piękność, wśród codziennych niebezpieczeństw, które ją otaczały, przy najlepszych okazjach, jakie tak doskonale uorganizowane życie podać jej mogło, szła tak śmiało i z taką pewnością po ostrzu przyzwoitości, że najpobożniejsze warszawskie szambelanowe dały jej za wygraną, niewidziały potrzeby o nią się trwożyć i modlić się za jej ocalenie przestały.

A przecież księżniczka Eleonora miała jedną serdeczną tajemnicę o której nikt nie wiedział, oprócz nas, którzy wiemy wszystko, którzy dyskretni jesteśmy do pewnego tylko momentu; a gdy przyjdzie chwila, ogłaszamy dla przestrogi synów i córek to, cośmy w ojcach i matkach dopatrzeć zdołali. Nie nasza wina, że nikt się nas niewystrzega i pod maskę swą zaglądać nam pozwala.

Był w owym czasie w Warszawie młody jeden urzędnik, któremu koledzy i znajomi wszystkiego mogli pozazdrościć. Miał on wtedy dwudziesty ósmy rok, wyglądał jak Apolin we fraku, z tą tylko różnicą, że był blondyn, że włosy jego cudnie się same fryzowały, że miał oczy błękitne, tak wymowne, tak tkliwe i rozumnie patrzące, że przestraszał niemi kobiety, jak Apolin wejrzeniem groźnym i dumnym przeraził wprzód Pitona nim go strzałą swą dosięgnął. Zdolności miał do wszystkiego ogromne. Grał na fortepianie z dziwnym wdziękiem i słodyczą, a piosnki francuskie spiewał z taką sztuką i z takim przeniknięciem, że ówczesne damy płakały z rozrzewnienia, i choć to był Polak i niekstałcił się w Paryżu w *café chantant*, która to instytucja jeszcze wówczas nieexystowała, rozry-

wały go prawie i taką mu wyrobiły pozycyą, że gdzie się pokazał, wszędzie był jak jaki pocieszyciel strapionych przyjmowanym. Karyera jego urzędowa szła jak najlepiej. Niemal co dwa lata odbierał awanse, powiększenie pensyi i gratyfikacye; taką miał protekcyą u tych którzy rządzą, nie światem ale nami, którzy niby to światem rządzymy. Majątku znacznego nie miał, ale fundusz do skromnego utrzymania się dostateczny, który połączony z pensyą jego urzędowania i z gratyfikacyami, jakie odbierał, stawiał go w możności mienia ładniutkiego apartamenciku, świeżej zawsze tualety, czasem krzesła w teatrze, a nawet latem wierzchowego konika, którego się zawsze na zimę pozbywał. Stół prawie go niekosztował, gdyż miał zawsze tyle inwitacyj na obiad, że gdyby tydzień składał się i z więcej liczby dni, niż się od czasów Genezy składa, jeszczeby żaden Szowo ani Marenż nie na nim nie zarobił. Do tego dodać należy, że w wydatkach swych był bardzo umiarkowanym, w karty nie grał, nie pił, i na nic niepotrzebne nie tracił, chyba czasem na jałmużny, gdy wchodził do Kapucynów. Przytem pochodził z dawnej i znacznej rodziny, nosił imię dość znane i piękne, które zdolnym był odnowić i podnieść na nowo, gdyż przy życiu dość rozrzucenem i zamięłowaniu wielkiego świata, był w swoim fachu jednym z najzdadniejszych i najpilniejszych urzędników.

Piękne ułożenie, cudne formy ciała, dobre i energiczne serce, rozmaite talenta, zdrowy rozsądek a przy tem wszystkiem dziwna łatwość w pożyciu ze wszystkimi i nienadymanie się temi przymiotami i łaskami natury i losu, które posiadał, zrobiły go ulubieńcem zwierzchników i kolegów, i pożądanym w każdym towarzystwie, w którym się znajdował. Słowem, gdyby kto mógł sam dla siebie układać warunki, pod którymi zgodziłby się na zamieszkanie na tym padole płaczu, pewnieby ani innych, ani lepszych wymyślić nie zdołał, jak te, pod którymi pan Włodzimierz na ten śniat boży przyszedł.

Otóż, częste widywanie się w tych samych towarzystwach, muzyka, śpiew, rozmowa, a nadewszystko ta dziwna organizacya oczów w dwóch istotach różnej płci, mocą której rysy, ułożenie i ruchy jednej padają tak na siatkę oka drugiej, że tam zaraz formuje się obraz niezatarty, tkwiący stale i nieobrażający niczem delikatnych fibrów, z których to cudowne narzędzie złożone, była przyczyną jakiejś natychmiastowej sympatyj, potem trwalszego w sobie upodobania, a nareszcie i głębszego uczucia, które mimo różnicy położenia w świecie, te dwie wyjątkowe istoty z sobą połączyło. Pan Włodzimierz pokochał bardzo księżniczkę Eleonorę i ona kochała go wzajemnie, chociaż oboje czuli to, że ukrywanie przed ludźmi tego związku ich serc było koniecznem, gdyż uświęcenie go błogosławieństwem rodziców i kościoła, a nadewszystko przyzwoleniem tego świata, do którego heroina nasza należała, było niepodobnem

a przynajmniej wymagało długiego czasu, i szczęśliwego zbiegu okoliczności.

Nie afszowali więc bynajmniej swego przywiązania i z dziwnym panowaniem nad sobą umieli zachować się na stopie zwyczajnej znajomości. Wprawdzie wzajemne wyznaczenie miało już miejsce; nie raz zdarzała się sposobność powiedzenia sobie słodkiego słówka; ale słówko to wyrwało się tak zrećnie, że wszystkim słuchającym zdawało się ono prostem: upadam do nóg.

Nie raz także ręce ich ścisnęły się mocno i dłoń jej w gorącej dłoni pana Włodzimierza drżała może przez kilkanaście sekund; nikomu jednak ani do głowy nie przychodziło aby pod książką, którą jej podawał, pod nutami, które przed nią trzymał, w fałdach chusteczki, która czasem u nóg jego upadła, toczyła się ta niema, dla wszystkich niewyraźna, a jednak tak serdeczna i dla nich dwojga tak głośna rozmowa. Do korespondencyi nie przyszło pomiędzy nimi wcale. Księżniczka Eleonora, która nieraz słyszała matkę ganiącą niebaczne kobiety, które z kochankami swemi biorą się do pióra, przywykła wszystkie uwagi macierzyńskie szanować, wzbronila mu stanowczo, aby ani do niej, ani o niej do nikogo nie pisywał.

„Wiesz pan — mówiła mu, gdy się zdarzyła szczęśliwa chwila pomówienia — że sekret jest fundamentem naszego przyszłego szczęścia. Sekret napisany staje się zawsze cudzą własnością. Kiedy pan mówisz, że mię kochasz, to w tem jednym słowie zamyka się wszystko. Resztę, dopowiadasz mi pan swem wejrzeniem, które ja tak dobrze rozumiem, resztę czuję w głosie pana, który mię przenika. Gdybyś pan to wszystko chciał wypisać, starał byś się napisać wymownie, tkliwie, pięknie. Jabym przeczytała list pana kilka razy, a potem żał by mi było podrzeć go lub spalić, i schowałabym zdrajcę, któryby nas wydał, nie dziś to jutro i wszystko by zepsuł. Do przyjaciół swych także nie pisz pan o mnie nigdy. W rozmowie z nimi zachowasz pan pewnie umiarkowanie; a choć mię więcej pochwalisz niż inni, to nie zaszkodzi, bo iluż jest takich, co mię więcej wychwalają, niżelim warta. Ale jak pan zaczniesz pisać, to pióro pana, posłuszne natchnieniu serca, rozpędzi się tak, że zrobisz ze mnie coś nadzwyczajnego, i choćbyś nie chciał, to czytający konfidencye pana przyjaciel zmiarkuje zaraz, że ja jestem ideałem pana, pokaże tę epitrę drugiemu przyjacielowi, ten powie trzeciemu, i tym sposobem wszystko wyjdzie na jaw. Przyjaciołom i pismu nie powierzaj się pan nigdy. Gdybym wiedziała, że mnie pan w tej mierze nie usłuchasz, toby mi dało dużo kłopotu i obawy; a i tak mam dość roboty i czuwania, żeby się nie zarumienieć, gdy pan wchodzi, lub nie poblednąć, gdy pana inne kobiety wychwalają.“

Księżniczka Eleonora od dzieciństwa okazywała rozum nad lata. Związek ten ich myśli i serc trwał już przeszło rok. Tajemnica, niepewność, czuwanie nad sobą i koniecz-

ność wykradania przed okiem ludzkim wszelkiej oznaki serdecznego porozumienia, dawała mu powab zakazanego owocu. Lechało to próżność panny, że włoskiem ze swego warkocza przywiązała do stóp swych szlachetnego młodzieńca, na którego najpowabniejsze kobiety zarzucały sieci i który nie patrzył na ich obiecujące wejrzenia i zdawał się nie słyszeć zachęcającego z ich strony wyzwania. Pan Włodzimierz znowu podnosił się niejako we własnych oczach, że posiadał miłość tak zawołanej piękności, że patrząc na hołdy, jakie osoba tak wysoko w kierunku świata stojąca, od najpierwszych w kraju osób odbierała, mógł sobie powiedzieć z dumą: klaniajcie się, czcicie ją, sypcie jej grzeczności i pochlebstwa! myśl i serce tego bóstwa, do którego wznoszą się wasze kadzidła, do mnie należy...

Wszakże pomimo tych poetycznych kwiatów, osłaniających barwami swemi te nici, co ich łączyły, pomimo nadziei, jaką się ludził, że czas uwieńczy ich zupełnem połączeniem, że gdy księżniczka przyjdzie do pełnoletności, objawi śmiało wolę swą i stałością wymoże zezwolenie rodziców, ciągly ten *status quo* zaczynał już pana Włodzimierza nudzić i serce jego zaczynało się niecierpliwie i mrużyć na ten spoczynek, przeciwny wszelkiemu postępowi i wszelkiemu życiu. Im silniejsze, im prawdziwsze było jego przywiązanie, tem gwałtowniejsze obudzały się w nim pragnienia, tem bardziej przygniatał go ten przymus i niemożność objawienia kochance całej energii swego serca, a światu całej wielkości swego szczęścia. Stąd pograżać się zaczynał w reflexyach, które go zastraszaly, przeszkody rozdzielaające ich rosły w jego oczach do ogromnych wymiarów a tęczowe farby jego nadziei, opierającej się jedynie na stałości światowej kobiety, otoczonej hołdami najpierwszej w kraju młodzieży, mającej tylko trudność wyboru, bladły okropnie w tych chwilach zastanawiania się i czasem nikły zupełnie. Chociaż więc nie miał wyraźnego powodu do trwogi, gdyż księżniczka Eleonora nie zmieniała się ani na włos i zawsze jednokowe okazywała mu względy, ale że od roku prawie do względów tych nie a nie nieprzybywało i kończyło się wszystko na miłym spojrzeniu, na ukradkowym podaniu ręki, na słodkim słówku, a co najwięcej na krótkiej rozmowie w tańcu, przy fortepianie, lub gdzie na spacerze, ciągle to stanie na tymże samym punkcie, oblekło czoło jego chmurą, której ukryć nie mógł i napełniło serce jego jakimśś trawiącym smutkiem który się wybił na jego twarzy.

Pięknym był raz wieczór przy końcu maja, i p. Włodzimierz w najgorszym humorze, w usposobieniu zbliżonem do zupełnego zwątpienia, stał na moście, na którym Sobieski depece więźniów tureckich, i oparty na poręczy patrzył na spokojne zwierciadło wody, w którym odbijały się przeszliczne formy pałacu łazienkowskiego. Nadzieje jego wydały mu się podobne do tego obrazu murów, okien, gzymsów i figur, który małowal się w wodzie. „Jestto mara, mówił sobie w duchu, bez ciała i prawdy. Piękna i lu-

dzająca dla tego, że woda teraz spokojna stoi bez ruchu i zdaje się być mocnym krzysztalem. Ale niech lada wietrzyk skąd dmuchnie i niestateczny ten żywioł zmać, obraz ten połamie się w potworną jakąś ruinę i wkrótce zniknie zupełnie. O! serce kobiety jest tem zwierciadłem, które się tu przedemną rozciaga, a nadzieje głupca, który na nim polega, tyle mają bytu i prawdy, ile jej ma ten obraz, który w tej chwili tak piękny i tak wyraźnie jasnieje.“

Gdy przyszedł do tej konkluzji, tak widocznie fałszywej i przez zły humor natchniętej, posłyszał turkot powozu, obejrzał się i wkrótce postrzegł nadbiegające silnym klusem stalowe runaki, a w perłowym koczku leżącą na amarantowem suknie księżniczkę, równie piękna, jak była niegdyś córka Dyony, która w perłowej konsze przejeżdżała się po morzu. Powóz zatrzymał się na moście, księżniczka podniosła się, obejrzała się, czy niema kogo, coby im przeszkodził, a postrzegłszy że są sami, z uśmiechem dała znak kochankowi, aby się przybliżył, a guwernantkę trąciła łokciem, która zaczęła się przypatrywać Sobieskiemu.

Rozmowa była krótka ale znacząca. Toczyła się ona po francusku, raz dla tego że furman siedział na koźle, a głównie dla tego, że od czasów wybudowania Lazienek, żadna jeszcze księżniczka polska nie rozmawiała z kochankiem swym po polsku.

— Pan pograżasz się w rozmyślaniach filozoficznych — rzekła podając mu nieznacznie rączkę, którą on w dłoniach swych utulił.

— Mój rozum rozmawiał w tej chwili z mojem sercem — odpowiedział pan Włodzimierz seryo.

— I któż kogo przekonał? — zapytała uśmiechając się i patrząc mu miło w oczy.

— Teraz czuję — odpowiadał młody człowiek, oczarowany tem wejrzeniem, że serce moje miało racyą. Ale gdy pani nie widzę...

— Alboż są chwile — przerwała cofając swą rękę, w których mię pan nie widzisz? Ja o panu nie zapominam nigdy, i zawsze pan jesteś obecnym, jeżeli nie oczom to myśli. Czy dałam jaki powód, że ten przemądry rozum pana zaczyna mi serce pańskie bałamucić. Od niejakiego czasu postrzegam tego ślady na czole pana, w jego humorze i postępowaniu ze mną. A przecież ja niezmięłam się na włos, kocham pana jak zawsze i nie przestaję rozmyślać o tem, kiedy będę mogła powiedzieć to głośno i każdemu, kto zechce słuchać. Nie dobrze pan robisz, jeżeli to zamyslenie i ten smutek jest szczerym, i jeżeli ja jestem jego przyczyną.

— Oddaj mi rękę swą księżniczko — rzekł p. Włodzimierz otwierając dłonie; a gdy ona kiwnęła tylko głową i ręki swej położyć nie chciała, uśmiechnawszy się, dodał: — Nie na zawsze, nie, o to cię prosić nie śmiem, ale na tę krótką chwilę, nim powóz twój ruszy. Na zawsze nie otrzymam jej, o tem wiem, chociaż czasem lu-

dzę się tem szczęściem, jak biedak, który postawił na loterya, i rachuje już te krocie, które ma wygrać.

— Więc moje serce — odpowiedziała prędko — jest tak kapryśne, jak los? więc moją rolę i postanowienie masz za nic? O! jeżeli tak myślisz, to nie dziwię się, że twój pan rozum, zaczyna gadać i perswadować. Bo w rzeczy samej, cóż za potrzeba tak tracić czas z kobietą, na której przywiązaniu i słowie polegać nie można, kiedy jest tyle, które do pana wyciągają ręce? Po co czekać na żonę może rok, może dwa i więcej, nim się usuną przeszkody i nim jej miłość i stałość wyrówna nierówności, kiedy można mieć inną, piękniejszą, lepszą i jeżeli nie więcej, to wyraźniej i jawniej kochającą! Słuchaj Włodziu! — dodała prędko i oddając mu obie ręce, które on pochwycił i mocno cisnąć zaczął — pierwszy raz cię tak nazywam, ale pamiętaj, żeby to nie był raz ostatni. Kocham cię i chcę być twoją; ale jeżeli nie będziesz wierzył we mnie, jak wierzysz w siebie samego, jeżeli cię nie obaczę jutro z czołem wypogodzonym, na którym będzie napisano: kocham cię i wierzę; to bywaj zdrów na zawsze. Będę płakać za tobą i za temi snami szczęścia, które mi dajesz, ale nie obaczysz tego, bądź pewny. Jeżeli przez rok cały potrafiłam ukryć moją miłość przed wszystkimi, to potrafię ukryć mój ból przed tobą jednym. — Ruszaj! — dodała już po polsku do furmana — i konie ruszyły, a pan Włodzimierz został na miejscu; uszczęśliwiony, patrzył za perłowym koczem i w turkocie kół jego słyszał te słowa energiczne, ale stanowcze, które nadzieje jego nowemi farbami umalowały. (D. c. n.)

WYJĄTEK Z DRAMATU „UKRAINKA.“

Ustęp trzeci.

AKT II.

SCENA SIEDEMNASTA.

Włodzimierz i Helena.

(Dokończenie.)

Helena.

O panie Hrabio, przebac, to wyznanie Pańskie, tak nagłe, tak niespodziewanie, Prawie odjęło mi władzę mówienia; A pan tę chwilę dziwnego milczenia, Może inaczej dla siebie tłumaczy.

(po chwili.)

Ja bym cię pani zasmucić nie chciała, Lecz widzisz zbladła moja róża biała?

(ciszej.)

Toż serce bledsze oh tak białe blade.

Włodzimierz.

Heleno!

Helena.

Rękę mą na sercu kładę, Że z twem uczuciem szczerem nie żartuję, I winnam szczerą odpowiedź, to czuję.

(Przechodzi niespokojnie kilka kroków i widać w niej wewnętrzną walkę).

Pan może wnosił z tej jasnej źrenicy, Z jasnego czoła, z częstego uśmiechu,

Że tu jest serce pół dziecka dziewicy,
I bez sennego nawet myśli grzechu?.
A to uczuciem zgłiszcze przepalone,
Łzami boleści ledwie ugaszone,
Szczerniałe, brzydkie. Ja już raz kochałam.

Włodzimierz.

Kochałaś!

Helena.

Szczerą odpowiedź ci dałam,
Tobie zrobiłam bolesne wyznanie,
Co żywą krasą kryje skroń niewieścią,
Lecz to dla twego spokoju o panie.

Włodzimierz.

(ponuro.)

Więc my jednaką karmieni boleścią,
Jedneśmy próby życia już przebyli,
Żebyśmy dzisiaj tem szczęśliwsi byli.
I ja kochałem. W tęsknocie, w żałobie,
Tę pierwszą miłość długom pieścił w sobie.
Młodzian, pół-aniół, pół-dziecko, kochałem,
Dziewicę czystą jak anieli w niebie!
A dziś dla ciebie o niej zapomniałem,
Dla ciebiem o niej zapomniał, dla ciebie,
Przysiąg i ślubów i zaklęć niepomny.

Helena.

(z goryczą.)

Ha toż z was widzę każdy wiarołomny!

Włodzimierz.

Choć nam okwitła pierwszych uczuć wiosna,
Zakwitnie znowu, promienna, radośna.
Po dawnej burzy niebędzie i śladu;
Bo na spalony piorunem pień,
Miłość jak świeży liść winogrodu,
Zarzuci miękich wianków swych cień;
I wszędzie zieleń, cudna woń wszędzie,
Nad nami błękit i blask słońce stu,
I cisza taka w duszy nam będzie,
Gdy tylko miłość zstąpi z nieb tu!

Helena.

Nie, nie, poeto młody,
Kwiat szczęścia nie dla nas,
Miłości i swobody,
Już nam przeminął czas.

(błagając go prawie.)

Niszczysz mi ciszę błogą,
Do bólów zbudzasz mnie!
Ja kochać cię nie mogę,
I ty nie kochaj mnie.

Włodzimierz

(coraz namiętniej.)

Aniele niewieści!
Za złudne me sny,
Za krwawe boleści,
Za gorzkie me łzy,
Ty, ócz twych spojrzaniem,
Uściskiem, westchnieniem,
Dajże mi dziś spłat!
A za tę zapłatę,
Ja duszy twej brat,
Za jedną tę chwilę,
Legnę ci u stóp,
Modłą ci przychylę

Nad skronie nieb strop,
Az w świetle i w bieli,
Na modły, na me,
Zestąpią anieli,
Aniele do cię!
Zbliż chwilę tę błogą,
Daj dłonie mi twe...

Helena.

Ja kochać nie mogę,
Ty nie kochaj mnie.

(wychodzi do salonu.)

Włodzimierz

(sam.)

Pokochasz! moją ty będziesz na wieki!
Święte pamiątki dla cię w wiatr rozrzuć.
Rusałko biedna! ty Dnieprze daleki,
Stepy, mogiły, już do was nie wrócę.
Oh! nie powrócę: możeby zawyły
Znów dawne burze, i w samym zarodzie,
Te cudne, wonne kwiaty by zniszczyły,
Com w nowym szczęścia zasadził ogrodzie,
Nie wrócę. — Gdybym Bożenę... o Boże!
Zobaczył kiedy!...

(po chwili.)

Nowe szczęścia zorze,
Teraz zejda mi!
Ona moją musi być!
I ja będę przy niej żyć,
U jej łona, u ust jej,
Nie, to nazbyt byłoby.
Ja legnę, u jej nóg,
I tu rozplynę w modły, w łzy...
(nagle się wzdryga przerażony.)
Ha pamiątek ciemny wróg,
Znowu pełza niby wąż,
Koło piersi, koło skroń,
Obwija się, tuli wciąż,
A jak topielicy dłoń,
Wilgotny rozszerza chłód,
Aż krew młoda ścina się
W zimny w żyłach w sercu lód.

J. K. S.

Najnowsze dzieła.

Stepy, morze i góry.

Szkice i wspomnienia z podróży. 2 tomy, Wilno 1854.

Przez A. Nowosielskiego. (Marcinkowskiego.)

Z nowo wyszłej z druku dwutomowej podróży do Odesy i Krymu przez Antoniego Nowosielskiego, wyjęliśmy już kilka ustępów do pisma naszego, a tem samem najlepszy daliśmy dowód o cenie jaką do tychże ustępów przykładamy. Chcemy tu jeszcze podać niektóre uwagi, jakie nam po przeczytaniu tego dzieła poddała całość onego. Autor jako chory, jadący do Krymu za zdrowiem, zdaje się nam z początku samego przyrzekać spis swych wrażeń wczasie podróży, i opisy miejsc i osobliwości widzianych; czyli po prostu powiedziawszy, po zakroju i po tytule spodziewamy się czytać podróz, z mniejszym lub większym talen-

tem napisaną, podobną zresztą swoim układem do wszystkich innych tego rodzaju podróży, odbytych nie w celu naukowym, ale czy dla zdrowia, czy dla rozrywki. Istotnie wielka część tej podróży napisana jest tym trybem, i szczerze powiedzieć możemy, napisana tak dobrze, że co do niektórych szczegółów, zaszczytne zająć może miejsce pomiędzy podróżami podobnego rodzaju, do tychże samych miejsc odbytemi, jakkolwiek nie nowego nie dodaje, i dodać nawet nie może, do szczegółów znanych już nam o stepach, Odessie, i Krymie, tylekroć już zwidzanych i opisywanych. Z przyjemnością wszakże czytają się niektóre tej podróży epizody, właśnie dla tego, że będąc spisem indywidualnych wrażeń autora, noszą piętno właściwego jemu talentu, i są pełne prawdy, świeżości, a nawet tu i owdzie pełne poetycznego zapatrywania się na piękność przyrody czy sztuki, zdybywana po drodze. Obok tych wrażeń, nie zapomina autor, o części pożytecznej każdej podróży, która sprawiając przyjemność, powinna zarazem słuszną czytelnika zadowolnić ciekawość, i pomnożyć masę jego wiadomości. Nigdzie jak w podróży, nie powinno i nie da się tak łatwo zastosować, to łacińskie: *Utile dulci*. I w tym względzie nie mamy nic do zarzucenia autorowi, a nawet w końcu naszego przeglądu, zacytujemy lepiej udałe ustępy, stosujące się czy do jednego czy do drugiego każdej podróży warunk. Nie możemy wszakże usunąć tej uwagi, że chcąc zwiększyć utilitarność tej podróży konieczne, nastrępił ją epizodami, które się kłócą z całością podróży, i nudzą przez to samo. Są to ustępy pełne pretensji do uczoności, a może nawet pełne uczoności rzetelnej, dotyczące wszystkich niemal kwestyj najdrażliwszych, najwięcej polemiki od wieków rodzących, o pochodzeniu narodów, o dawnych ludowych wędrówkach, o ich językach i obyczajach, i Bóg wie o czem jeszcze. Bo naturalnie gdy jedna myśl, drugą myśl potrafi, jedna wiadomość przypomni drugą, cóż dziwnego, że autor, mówiąc o ukraińskich stepach, dawnych kozackich siedzibach, lub tatarach krymskich wprowadza nam nietylko całą nomenklaturę ludów i szczepów Scytyjskich, podaje spis wszystkich najuczestniejszych ludzi, co o tem pisali, zaczawszy od Herodota a skończywszy na Szafarzyku i drugich, po tej drodze wchodzi dalej na morze nieprzebrane wszelkich możliwości genezyjnych, o jakich tylko ludzie pisali i piszą, marzyli i marzą, ale co więcej nawet, że przechód z subtelności genezyjskich nie daleki do subtelności lingwistycznych, i że w nas zda się jest jakaś żyłka do badań etymologicznych, któremi od Dębłęckiego zacząwszy, a skończywszy na naszym uczonym Kamińskim tyłu lubiło się zajmować ludzi; autor rzeczonyj podróży, goni za rozmaitemi analogiami, oklepaniami dosyć, szczególnych słów, zwyczajów i obrzędów Indyjskich i sławiańskich. I ma do tego widoczny pociąg, bo gdziekolwiek nadarza się mu sposobność, jak n. p. gdy daje nam szacowny z resztą obraz historyczny żydów karaimów, w Krymie zamie-

szkałych, zacieka się w podobne, nigdy nie objaśnione, i do objaśnienia niepodobne, bo opierające się na sprytnych zaiste, ale zawsze mrzonkach tylko, niemających wedle zdania naszego dla dzisiejszego społeczeństwa wielkiej realnej wartości. Nie chcemy tu pokryć zupełną śmiesznością podobnych badań, które jeżeli są sumienne, i jeżeli kto w nich koniecznie smakuje, mogą rzucić pewne światło na wielki zamierzchłe, na pochodzenie ludów już nie istniejących, a tem samem zadowolnić ciekawość tych, których więcej obchodzi przeszłość niepewna, dziecinna ludów, nim ludy je stały się narodami, przeszłość przedhistoryczna, w której tysiące nowych stawiać można przypuszczeń, robić odkrycia nowe, obalać płonność dawniejszych i tem schlebiać własnemu rozumieniu o sobie, choćby z tą żadną korzyść dla narodu nie wypłynęła; których nie wabi nic do przeszłości bliższej rozpoznawania; bo tam Kolumbem być nie można, woła więc bajeczne rozwikływać dzieje, choćby w samych przypuszczeniach, byle oryginalne te przypuszczenia były, niżeli zastanawiać nad bliższą przeszłością, mogącą wpłynąć na opamiętanie narodu na obudzenie w nim świadomości lub nad przyszłością w której żyć będą nasi potomkowie, i którą by była jak najlepsza przygotowywać dla przyszłych pokoleń, jest i powinno być najżywotniejszym powołaniem umysłów, pracujących w terażniejszości osobliwie w naszym narodzie. Ani też zaprzeczamy autorowi prawdziwej erudycji, i rzetelnego do podobnych badań powołania. Zdaje nam się tylko że podobne uczone epizody w zwykłej podróży, są zbyt ciężkie, utrudzające czytelnika, a co najwięcej, nic nie uczą, i nic nauczyć nie mogą. Podobne badania w pewną całość zebrane, wyczerpujące co się tylko w tym przedmiocie da wyczerpać, mają ten przynajmniej pożytek że uczą, czego nauczyć mogą, i tych którzy tej nauki łakną, lecz pobieżnie, mimochodem dotknięte, niemogąc być wszechstronnymi, zajmują tylko miejsce w książce, stoją dla większej części czytelników na drodze, tak jakby najciekawsze skały na drodze podróżników tysiąca, niemających najmniejszej wiadomości o składach geologicznych i mineralogicznych, dla których zatem ciekawość skał tych przepada zupełnie. I dla tego, niezaprzeczając autorowi prawdziwej uczoności, musimy wyznać szczerze, że w rzeczonyj podróży ustępy te wyglądają na pretensją do uczoności. Odróżniamy wszakże od tego ustępy niektóre poważniejsze, historyczne nawet, i prawdziwie pożyteczne, które należą zupełnie do podróży i które byłyby jeszcze pożyteczniejsze, gdyby były oczyszczone z tych dodatków erudycji wszechstronnej. Takimi są zaiste szczegóły wielce ciekawe o Ukrainie, dzieje Krymskiego Chanatu, rzut oka historyczny na pochodzenie i koleje przeszłe Karaimów, i krótki nareszcie opis założenia i postępu winnic krymskich. Wszystkie te ustępy zawierają wiele wiadomości ciekawych, nowych nawet. Obok romantycznych ustępów, czytałyby się nietylko z pożytkiem ale nawet z przyjemnością, gdyby autor nie utrudzał przy-

stępu do nich aglomeracją swych studiów uczonych. Niemniej ciekawe, dziś mianowicie zajmujące wszystkich, są szczegóły o Mikołajowie, tej kolebce marynarki rosyjskiej i o Sewastopolu który jest zbiorem i schronieniem tejże do najwyższego prawie szczybla potęgi doprowadzonej marynarki. Wszystkie tego rodzaju statystyczne wiadomości należą do podróży, uzupełniają ją, i są niemal najinteresowniejszą i najkorzystniejszą częścią podróży każdej. Obrazki wszystkie inne tej podróży tak rodzajowe, jako i opisowe, są napisane z życiem, i z prawdziwym schwytnym uczuciem, nawet opis kontraktów kijowskich, jakkolwiek skreślony już przez wszystkich niemal pisarzy naszych, ma w sobie wiele powabu i prawdy. Najlepiej udany zdaniem naszym jest opis podróży przez stepy ukraińskie; część plastyczna tego opisu daje bowiem bardzo dobre i rzetelne wyobrażenie krajobrazowe o tej części naszej dawnej ojczyzny. Opis krajobrazowy Krymu, jego wegetacji, cudownych willów, cudowniejszego widoku z jego gór i skał równie jest piękny, i napisany z prawdziwym uczuciem. Szkoda tylko że jest tak pobieżny, jak cała w ogóle podróż autora nadzwyczaj pobieżnie odbyta być się wydaje. W krótkich słowach zebrał wreszcie wrażenie jakie powstaje po przeczytaniu całej dwutomowej podróży, jest ona napisana po połowie w podróży samej, z notatek tu i owdzie w chwili i sile samychże wrażeń autora zbieranych, a po połowie wyrobiona już później, przy spokojnym biurku domowym, z dała od miejsc i wrażeń jakie przeżył autor. I jak zwykle w takim razie bywa, część jedna jest żywa, prawdziwa i zajmująca, gdy tymczasem część druga jest ciężka, naciągnięta, i stanowi niejako ów *balast* (ciężary dodawane statkom żaglowym) którym autor znalazł potrzebę obciążyć swój lekki statek, puszczając go na morze drukowanych nowości. Moglibyśmy zaprawdę zapytać, czy to ma być z korzyścią wydawcy, czytelnika, czy autora?

Rozmaitość.

* Przedsiębiorstwa wszelkie ugruntowane na przywileju wyłączności wnoszą się szybko, ale zamiast przynosić korzyść narodowi, zadają mu kłeskę. Gdyby n. p. u nas w Galicyi dla wzniesienia fabryk żelaza, zakazano sprowadzania żelaza obcego, mielibyśmy żelazo tak drogie i tak by go mało było, iż ani kolei żelaznych budować, ani rolnictwo, rękodzieła i fabryki wnieść by się zdołały. Dopóki n. p. istniało w Galicyi tylko jedno towarzystwo zabezpieczenia od ognia, premia były nadzwyczaj wysokie; kto się zabezpieczał, tego to kosztowało bardzo wiele, assekurujących się było mało, a assekuracja wyłącznie istniejąca wegetowała jedynie. Teraz namnożyło się towarzystw assekuracyjnych więcej. Przez rywalizację musiały znacznie niższe premia, z powodu niższych premii assekuruje się coraz więcej osób, assekuracje zamiast podkopywać jedna drugą i owszem coraz więcej się krzewią, rywalizując będą musiały zniżyć opłaty i nie minie lat kilka, a w Galicyi każdy dom, każda chałupa, każdy snop zboża w stodole, każde ziarno rzucone w rolę będzie zabezpieczone od wszelkiego przypadku; bo każdy opłacając niewiele, woli być bezpieczny o swe mienie. A czy byłoby to do skutku przyszło, gdyby istniało było dotąd wyłączne jedno tylko to-

warzystwo ogniowe? Czy może przywieść to samo do skutku jeden na cały kraj zaprowadzony, wyłączny, rządowy instytut zabezpieczenia od ognia i t. d., co przywiodło i przywiedzie jeszcze do skutku swobodne współubieganie się prywatnych podobnych przedsiębiorstw to jest pytanie, na które odpowiedź trudna.

Podobnie jak z assekuracjami od ognia stało się i z assekuracjami rentów pośmiertnych lub dożywotnich. Za granicą potworzyły się stowarzyszenia które mając na celu jedynie cel szlachetny, zabezpieczenia bytu rodzin ubogich, poprawienia losu ich dzieci, wzięły na siebie zawiadywanie jedynie funduszami, jakie z składek częściowych tych rodzin powstaną. Oto wyrobnik mający żonę i dzieci, chce zabezpieczyć dla siebie, gdy się zestarzeje i już pracować nie będzie mógł, jakiś kapitał, z którego by żyć mógł; podobnie życzyłby sobie zabezpieczyć los żony, gdyby ją wcześniej odumarkł. Dzieci oddaje do rzemiosła. Gdy będą w pewnym wieku, potrzebować będą pewnej kwoty, aby rzemiosło, którego się nauczyli na własny rachunek prowadzić mogli. Córki dorosły, prędzej znajdą męża, gdy będą posiadać jakiś kapitał, którego nowożeniec dla ustalenia losu użyć będzie mógł. A tu wyrobnik ubogi, bardzo mało rocznie złożył może. Kapitału któryby wystarczył dla wszystkiej rodziny ani myśleć aby uzbierać mógł. Idą mu więc w pomoc podobne stowarzyszenia. Oto na przeżycie składa po kilka franków za każdą osobę tym stowarzyszeniom i zapewnia tem los sobie i swej rodzinie. Ma n. p. dwie córki, jedną dwa, drugą czteroletnią. Dla każdej składa rocznie na przeżycie po pięć franków, składa pod warunkiem aby po upływie lat 15. jeśli te córki żyć będą wypłaciło stowarzyszenie przypadającą kwotę. Podobne zabezpieczenie czyni dla siebie i dla żony. Wesoło więc i z ufnością spogląda w przyszłość, pracuje swobodnie, bo nie troszczy się o przyszłość rodziny. Szczęśliwie tych kilkanaście franków rocznie, i tem okupuje spokojność sobie i ustala szczęście familii. Stowarzyszenia takowe są mocno rozgałęzione po całej Francyi, Anglii i Niemczech. Przyczyniają się one niepomąłu do podniesienia dobrego bytu uboższej klasy a więc i do wzrostu cywilizacji.

Na wzór tych stowarzyszeń powstały podobne przedsiębiorstwa i w Austrii. Fundusz pensyów dla urzędników i wdów ich w ten sam sposób utworzony jest. Wkładki, często kilkokrotne, przy każdym posunięciu się na stopień wyższy, kapitalizują się. Z czego powstał ogromny fundusz pensyjny. Po cztery od sta idą procenta do kapitału, od tych procentów znowu procenta. Dla osób prywatnych utworzone podobne przedsiębiorstwa prywatne. Połączone one były z assekuracjami ogniowymi. Lecz powoli przyjmowały się w prowincjach austriackich. Na zachodzie każdy udział w nich biorący był zarazem i akcyonaryuszem, był członkiem stowarzyszenia. Zasada była prosta i zrozumiała. Oto n. p. w roku 1838 do stowarzyszenia jednego przystąpiło 1350 osób. Każdy stosownie do wieku obowiązany był składać rocznie po 8 do 11 franków i to przez lat 15. Kto po 15. latach przy życiu pozostał, ten należał do równego działu. Wkładki roczne i procenta od nich po latach piętnastu wynosiły tyle iż z pozostałych przy życiu, każdy otrzymał po dwa tysiące przeszło franków.

Sekretarz stowarzyszenia: Assicurazioni Generali, Tomini wpadł więc na tę myśl, aby w sposób podobny uformować stowarzyszenie wzajemnego zabezpieczenia na przeżycie. Utworzono dwa oddziały; jeden dla chcących przystąpić na lat dwanaście, drugie na lat dwadzieścia. Wydano akcyonaryuszom zwane *tontynami* od tego który pierwszy myśl podał stowarzyszenia, na osoby brzmiące z których każda kosztuje w pierwszym oddziale od 12. do 14. w drugim od 5. do 6. złr. m. k. rocznej wkładki, lub jednorazowej na wszystkie lata w pierwszym oddziale od 80. do 100. w drugim od 50. do 70. złr. m. k. Wszystkie od akcyonaryuszów wypływające wkładki, równie jak i uzbierane procenta podzielone będą po upływie założonego terminu

między tych członków, którzy w dniu ekspiracyi jeszcze przy życiu będą a to stosownie do liczby akcyów jakie każdy posiadał. Towarzystwo Assicurazioni Generali jest jedynie przez tych lat 12 czy 20 zawiadawcą tych funduszów, a zyski ciągnie li tylko z tego prawa iż temi kapitałami, hypotekowanemi należycie na majątku towarzystwa, rozrządzać swobodnie może. Przystąpienie do oddziału pierwszego na lat 12 pozwolone jest do 12. grudnia 1857 a do oddziału drugiego trwającego lat 20 do 31. grudnia 1865 r. lecz przystępujący później większe roczne wkładki czynić musi.

Osobom nie zostającym w służbie publicznej, a pragnącym dla siebie i dla rodzin swych zapewnić utrzymanie na późniejsze lata, podana jest możność uskutecznienia tego w bardzo łatwy sposób i małym kosztem. Kto wie ile ta pewność, iż się ma zabezpieczoną przyszłość dla siebie i dla rodziny, wpływa na moralność powszechną, ile już to samo staranie około zabezpieczenia tej przyszłości dla swej rodziny podnosi moralną wartość człowieka, ten wraz z nami życzyć będzie, aby ta gałąź Towarzystwa Assicurazioni Generali mogła jak najwięcej rozkrzewić się u nas, aby na wzór tego oddziału powstały u nas liczne podobne towarzystwa, zapewniające sobie na wzajem na stare lata utrzymanie stosowne dla siebie lub dla rodziny.

* Paryska akademja umiejętności złożyła następujące sprawozdanie o nowej broni: Członkowie komisji: Piobert, Morin i marszałek Vaillant (teraźniejszy minister wojny.) «Wynaleziona przez Dra. Charreyre nowa broń wojenna, składa się z długiej lancy z tarczą, której kula nie przebija. Tarcza ta zasłania głowę i wierzchnią część ciała. Tak zasłonięty żołnierz może bezpiecznie zbliżyć się do nieprzyjaciela aż na 5 do 7 kroków i dopiero wystrzelić z tej lancy. Lanca ta tak prędko zapala się, jak nabój karabinowy, a działa jedynie przez niszczący wszystko ogień. Przestrzeń na 15 do 20 stóp w około zasypuje taką masą i takiego rodzaju ogniem iż wszystkiego się czepia, wszędzie się przylepia, szybko wzrasta i tak mocnym i gęstym górem płomieniem iż żołnierze w drugim i trzecim szeregu tak samo straszliwie są dotknięci jak i w pierwszym. Oprócz tego lanca zionie ciągle tym straszliwym ogniem; płomień ten wydobywający się z niej przerywa powietrze z silnym świstem. Jeżeli uzbrojony w tę lancę żołnierz rzuci się na nieprzyjaciela i zaatakuje go swym płomieniem natenczas śmiało utrzymywać można, iż żadna ludzka siła nie jest w stanie oprzeć się tej potężnej broni. Wynalazca widzi właśnie w nieprzypartej potędze tej broni sposób szybkiego zakończenia wojny. Dwa wojska, uzbrojone w podobne lance, stojące naprzeciw sobie poniosłyby tak wielkie straty, iżby w krótkce nie było komu wojować.»

* Admiralicya angielska zajęta wypróbowaniem nowego wynalazku, który jeżeli się praktycznym okaże, manewrom floty na płytkich wody nieobliczone przyniesie korzyści. Członek stowarzyszenia pokoju (!) pan Berthon zbudował modele dużych czołen, długości 16 do 18 stóp, które udźwignąć są wstanie 200 ludzi i dwa działa, a z tym ciężarem nie głębiej idą jak 12 cali! W życiu zaś mogą być zwinięte jak wachlarz i schowane na okręcie. Każdy okręt kilka takich czołen z sobą wzięć może. Konstrukcyja jest bardzo prosta a zmysłna. Szkielet składa się z belek podłużnych które u końców przypadają jedna w drugą. Gdy te belki są rozłożone, wtedy pomiędzy niemi ukazuje się podwójne, mocne, z materij nie przepuszczającej wody zrobione dno i ściany w licznych przedziałkach, w których środku jest przestrzeń napełniona powietrzem. Przez to czołno zatonać nie może, choćby jedna przedziałka przedziurawiona była; pozostają zawsze inne, które utrzymują czołno na wodzie. Czołna te są nadzwyczaj mocne i stosownie do swej wielkości bajeczne prawie

ciężary dźwigać mogą. Kierować zaś niemi można z równą łatwością, jak z dawniejszemi z drzewa całkowicie zbudowanemi. Jeżeli admiralicya uzna praktyczność tego wynalazku, natenczas natychmiast przystąpią do budowania takowych czołen. Kilkaset w kilka tygodni może być gotowych. Wtedy floty mogłyby opłynąć wszystkie fortyfikacye kronsztackie, a obrona głównego, wąskiego przepływu przez liczne baterye i twierdze, okazałaby się płonna.

Przyjechali od dnia 23. do 26. maja do Lwowa:

PP. Bogdanowicz Józef, z Kosowa. Czerwiński Jan, z Remizowiec. Głogowski Artur, z Gródka. Łoś Karol, hr. z Rajskeg6, Pietruski Julian, z Łachowic. Sartyni Antoni, ze Stryja. Wankowicz Ignacy, ze Żółkwi.

PP. Bobowski Konstanty, z Humnisk. Dembiński Marian, z Złoczowa. Dörfel Grzegorz, z Tarnowa, Fredro Henryk hr. z Dubanowic. Lanckoroński Stanisław hr., z Tarnowa. Łoś Włodzimierz hr., z Dolżanki. Malczewski Stanisław, z Cześniak. Szeptycki Marcin, z Pohorylec.

PP. Andrzejowski Piotr, z Wiednia. Dąbrowski Karol, z Sanoka. Duchnowski Piotr, z Sambora. Gozdowski Antoni, z Tarnopola, Harasimowicz Jan, z Hnilezyc. Niemirowski Józef, z Przemyśla. Rubczyński Leander, i Kerka Frydryk z Tarnopola. Smoliński Szczepan, z Opar. z Stadnicki Aleksander hr., z Trzcinić. Zatorski Maksymilian, z Załuża.

P. Popowicz Jerzy, z Czerniowic.

Wyjechali od dnia 23. do 26. maja ze Lwowa:

PF. Dzieduszycki Kazimierz hr., do Niesłuchowa. Olszewski Tybureyusz, do Brzeżan.

PP. Baworowski Włodzimierz, hr. do Zborowa. Czacki Aleksander, hr. do Żółkwi. Łoś August, hr. do Milczyc. Niesiołowski Dominik, do Krakowa. Rozwadowski Edward, do Jagielnicy. Rudnicki Teodor, do Tuchli. Tomaszewski Walenty, do Popowic.

PP. Czacki Aleksander, hr. do Przemyśla. Czerwiński Stanisław, do Albogowy. Małachowski Zygmunt, do Stanisławowa. Piotrowski Józef, do Hnatkowic. Zawadzki Apolinary, do Tarnowa.

P. Kaubohl Antoni do Stryja.

Dzisiejszy.	Kurs lwowski.	Gotówką towarem.
Dukat holenderski	złr. 6 kr. 15	złr. 6 kr. 18.
Dukat cesarski	" 6 " 19	" 6 " 20.
Półtempereł zł. rosyjski	" 10 " 52	" 10 " 56.
Rubel srebrny rosyjski	" 2 " 6	" 2 " 7.
Talar pruski	" 2 " 2	" 2 " 4.
Polski kurant i pięciozłotówka	" 1 " 32	" 1 " 33.
Galiczyjskie listy zastawne za 100 złr.	" 92 " —	" 92 " 11.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam	115.	Marsylia	—
Augsburg za 100 złr.	137½.	Medyolan za 300 lirów	—
Bukareszt	—	Paryż za 300 franków	161½.
Frankfurt za 120 złr. podług	—	Agio duk. ces.	—
24½ stopy	137½.	Srebra agio	38.
Genua	—	Pożyczka 5%	85½. 4½ —
Hamburg za 100 tal. banco	101½.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akcyje banku	1205.
Liwno	—	Kolej północna	2125.
Londyn za 1 funt sterl.	13. 21.	Obl. ind.	5%. —

TEATR POLSKI.

W Poniedziałek, dnia 29 Maja 1854. **Uriel Akosta.** Trajedyja w 5. aktach, wierszem przez M. B. A. z niemieckiego K. Gutzkowa przerobiona.—